

**PAN PROFESOR DUTKA –
KSIĄŻKI, STUDIOŁO I „FENOTYP UCZONEGO”***

„Jakim to się dzieje sposobem, że koniecznie chcemy kimś być i coś znaczyć. Nie pozostajemy jednak w prawdzie, cokolwiek sami o sobie mniemamy. Czemuż chcesz uskarżać się wiele i biegać tędy i owędy; dokądkolwiek podążysz i pójdziesz, nie wszystko znajdziesz pomyślnym: ponieważ wszędzie musi się trochę cierpieć. I jeśli z tego nie potrafisz się cieszyć, możesz jednak wszystko znosić i w taki sposób pozyskać spokój: ostatecznie wszystko cierpliwością przewyciężać”¹. Te słowa Tomasza a Kempisa przepisałem z książki należącej kiedyś do biblioteki śp. Pana Profesora Czesława Pawła Dutki. Słowa, które tak bardzo kojarzą się mi z jego osobą i jego księgozbiorem... Egzemplarz przekładu traktatów średniowiecznego augustianina znajdował się tam przez pewien czas, by z woli właściciela trafić kiedyś do mnie. Jak wiele innych tomów, które dostawałem – a to z powodu akurat pisanego przez siebie artykułu, a to jako wsparcie przy przygotowywaniu się do objęcia kolejnego przedmiotu akademickiej dydaktyki, a to by po prostu sprawiły mi niespodziankę (zazwyczaj niemałą!). Jeśli już chodzi o owe niespodzianki, wiele razy nie były to książki do pracy niezbędne, ale które miały swą mądrością i pięknem przemówić do obdarowanego... Tak było od początku naszej znajomości, gdy jako podwładny Pana Profesora pracowałem na zielonogórskiej uczelni, tak było i przez następne lata aż do samej jego śmierci. Nie stanowiło tajemnicy albo jeśli tak, to przestanie nią być w tej chwili, gdy napiszę, że to szczodre otwieranie (i огоłocanie) przez Pana Profesora osobistej biblioteki dotyczyło nie tylko mnie. Wspierało i pozostałe osoby z założonego przez niego i prowadzonego Zakładu Teorii Literatury. Więcej jeszcze, to co było jego, było zawsze i po to, by gdy tylko trzeba, także nam, członkom zespołu, mogło służyć i pomagać. Wiem, że oprócz nas również niejedni spośród byłych studentów Pana Profesora mogliby do tej tezy dopowiedzieć swoje słowa (nieograniczające się tylko do pamięci o wspieraniu książkami). I to nie dlatego wiem, żeby kiedykolwiek wprost o tym mi mówił.

Czytelnicy moich rozważań będą już pewnie dosyć zniecierpliwieni, że zacząłem od cytatu obcego skojarzeniom z akademicką drogą życia, a co zdanie, to jeszcze się oddalam od myśli średniowiecznego zakonnika. To prawda... Wydaje się przecież tak oczywiste, iż kto zamierza się włączyć w zinstytucjonalizowane formy uprawiania

* Wspomnienie to ukazało się w: „Pro Libris. Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne” 2020, nr 3-4, s. 89-97.

¹ Tomasz a Kempis, *O życiu cichym i o wyrzeczeniu się samego siebie; De bona pacifica vita cum resignatione propria*, [w:] idem, *Cztery medytacje*, przeł. i wstęp A. Sulikowski, Kraków 2001, s. 30.

nauki, tym bardziej „koniecznie chce kimś być i coś znaczyć”. Jeśli zostanie profesorem, w mniemaniu wielu będzie „kimś” i będzie nieraz (oby!) „coś znaczyć”. I że na pytanie: „Jak to się dzieje?” – jest banalna odpowiedź. Nie ogranicza się wyłącznie do motywów osobistego zadowolenia. Gdy decydujemy się na pracę na uniwersytecie, przyjmujemy na siebie zobowiązanie, by pomnażać dorobek, co znaczy nieodłącznie – powinniśmy zdobywać stopnie naukowe, awansować. Czujemy oczywistą presję, gdyż nasze osiągnięcia wspierają pozycję zespołu, do którego należymy. Staramy się, mamy nadzieję, pamiętać, iż w pięknej tradycji naszej kultury „coś znaczyć” odnosi się także do związanych z tym wymogów stosownego, uczciwego bycia w przestrzeni pozauczelnianej.

Dotykam tu sprawy etosu uczonego, etosu społeczności uniwersyteckiej, nie dlatego jednak bym sobie przypisywał szczególne uprawnienia, aby się zapaść w górnołotny dyskurs etyczny, oczywiście ważny. Chodzi tylko o to, że wspomniane wymogi stosownego bycia w przestrzeni – uczelnianej i pozauczelnianej – tak bardzo zajmowały Pana Profesora, tak często stanowiły treść naszych rozmów i zwierzeń do samego końca jego życia, a wcale nierzadko przyczynę autentycznego smutku, gdy widział, jak te właśnie komponenty spajające akademicką wspólnotę spadały do rzędu wartości poniewieranych. A choć swe o tym opowieści, bywało, przyodziwiał w kostium celnego żartu, to nie przysłańało owego smutku. Zawsze smutku i zawsze bez zaciętrzewienia...

„Nie pozostajemy jednak w prawdzie, cokolwiek sami o sobie mniemamy” – napisał Tomasz a Kempis. Tyle było rozmów z Panem Profesorem, bardzo osobistych, tyle od niego przez lata telefonów, były listy i kartki, nic zaś w nich takiego, by teraz stało się możliwe z dużym prawdopodobieństwem odtworzenie, cóż „o sobie mniemał”. W tych jego wypowiedziach nie rysowały się egotycznie mniemania. A przecież pełne były słów, wcale nie nużących, które odsyłały do bogatej faktografii życia, do wszystkich etapów drogi edukacyjnej i zawodowej, epizodów szachowych, teatralnych, spotykanych sław polonistyki, literatury i sztuki. A jeszcze częściej – nawiązania do osób najbliższych: dziadka, rodziców, siostry, stryja, żony, córek, wnuków, siostrzeńca... Także – do dawno już nieżyjących zwierząt domowych... Zdaje się, że nie tylko ja, ale wszyscy z Zakładu Teorii Literatury czuliśmy się w nienachalny sposób jakby od lat należący do tej jego prawdziwej rodziny... To było na co dzień, stawało się jakieś naturalne, niezauważalnie byliśmy włączeni do tego osobistego kręgu.

Średniowieczny zakonnik przypomniał też oczywistość: „nie wszystko znajdziesz pomyślnym: ponieważ wszędzie musi się trochę cierpieć”. Lecz „trochę” czasem nie wystarcza. Pan Profesor w ostatnich latach musiał przez kilka dni każdego tygodnia być na długie godziny podłączany do aparatury medycznej, by żyć. „I jeśli z tego nie potrafisz się cieszyć, możesz jednak wszystko znosić i w taki sposób pozyskać spokój: ostatecznie wszystko cierpliwością przewartościować” – zalecał Tomasz a Kempis. Czesław Paweł Dutka istotnie przewartościował. Jednak nie mówił dalej nic o tym, co „sam o sobie mniemał”, natomiast o przebiegu choroby i leczenia wypowiadał się

nieraz. Niewątpliwie dlatego że krzepiło go uzmysławianie sobie solidarności z nim innych w tych doświadczeniach. Gdyż jak chyba każdy chciał wtedy przy sobie słyszeć głosy bardziej znajome niż jednak obcych lekarzy (opowiadanie o nich było zawsze przepojone wdzięcznością!) i współpacjentów. Toteż niekiedy potrafił telefonować ze szpitala, gdy był w trakcie wspomnianych zabiegów. Pocięszające było, iż choć słowa skargi padały zupełnie rzadko, to podczas rozmowy jego głos zatracił obolałą nutę, tempo mówienia się ożywiało. Szczęśliwe także to, że z powtarzanymi przez niego słowami zachęty, na które zawsze się powoływał, a jakie przekazywały mu jego córki, obie przecież medyczki, udawało mi się kojarzyć przykłady podobnie chorujących osób akurat z mojego otoczenia. Udawało się wskazać niewymyślone historie z pomyślnym przebiegiem, a zaczynające się o wiele bardziej beznadziejnie niż przypadek Pana Profesora. Udawało się! Reagował z wdzięcznością. A przecież nic nie budziło w tych okolicznościach takich jego podziękowań, ba, prawdziwej, trudnej tu do opisanego radości, jak zapewnienia o stałej modlitwie w jego intencji. Tak było przez wszystkie lata jego ciężkiej choroby. Trzeba też przyznać, że mimo wszystko pozostało także wiele z tego, co stanowiło normę przed tą poważną utratą zdrowia. Zatem, gdy podczas owych telefonów w czasie uciążliwych zabiegów głos Pana Profesora wracał do swego normalnego tempa, musiały być książki. Znienacka przypominał sobie, że koniecznie teraz przydadzą się mi takie a takie tomy z jego biblioteki, że kiedy tylko będzie znów na poczcie, to je do mnie prześle. Przypominał też sobie, że koniecznie musi nabyć tę a tę nowość wydawniczą i że bym ją czym prędzej wyszukał dla niego w poznańskich księgarniach.

„W taki sposób pozyskać spokój: ostatecznie wszystko cierpliwością przeczłuję”. Trzeba wspomnieć o prehistorii „spokoju” i „cierpliwości”. Wkrótce po tym jak zostałem przyjęty do Zakładu Teorii Literatury, w moim domu zaczęła się obłożna choroba, bardzo radykalnie powiększając zakres codziennych obowiązków rodzinnych. Przez wszystkie lata tej sytuacji Pan Profesor nigdy nie traktował tych moich obciążeń jako pozostających w dalekiej kolejności za zobowiązaniami zawodowymi. Mało tego, traktował je z osobistą troską. A żeby wszystko dobrze przebiegało, pomagał w najdogodniejszym zorganizowaniu moich prac na polonistycę i ogromnie wspierał w tym, by moje wysiłki naukowe, badawcze jak najmniej ucierpiały. Jestem pewien, że bez jego „spokoju” i „cierpliwości”, wspomaganych także działaniami pozostałych osób pracujących wtedy w naszym zakładzie, nigdy bym sobie z tym wszystkim nie poradził.

„Pozostaniesz spokojny w swym wnętrzu: jeśli nie będziesz się zbytnio na zewnątrz zwracał”² – to również zapisał Tomasz a Kempis we wspomnianym tu traktacie. Pan Profesor Dutka nigdy „zbytnio na zewnątrz” nie wypowiedział tego, jak odnajdywał samego siebie jako autora prac naukowych, wykładowcę, promotora, jako także anima-

2 *Ibidem*, s. 29.

tora życia akademickiego. Już chyba więcej „na zewnątrz” wybrzmiewały słowa wrażeń z jego doświadczenia szachisty. „Na zewnątrz” skierował za to wizerunki rzeczywistych oraz fikcyjnych uczonych, starannie wymodelowane instrumentami badań literackich. Tych rzeczywistych ukazał w esejach zebranych w książce *Mistrzowie i szkoły – szkice o tradycji literaturoznawstwa*³. Są tam, wyróżniające się spośród innych jeszcze spraw istotnych dla humanistyki, sylwetki kilku czołowych historyków literatury polskiej oraz krytyków. Jak zarysowane? Otóż przede wszystkim za pomocą charakterystyki metodologii wyznawanej przez wymienionych uczonych. A charakterystyka owych metodologii właściwych wspomnianym osobom? Przeważnie za pomocą zestawienia opinii, często skrajnie zróżnicowanych, a formułowanych z kolei przez innych luminarzy badań literackich, często współczesnych owym portretowanym na pierwszym planie narracji w rzeczowej książce. Zadeedykował ją Pan Profesor: „Pamięci mojego Mistrza – Jana Trzynadłowskiego”. Autor był wszak obdarzony nieprzeciętnym talentem diegematycznym, ale swojego Mistrza upamiętnił niemal udramatyzowanym panelem, do którego przywołał tych, których głosy odsłuchiwał jako dobitniejsze niż swój własny. „Kto sam sobie zbyt ufa: wystawia się na niebezpieczeństwo. Rozsądnie czyni: kto doświadczonej i uczeńszych od siebie naśladowuje. [...] Cóż bowiem rzadszego i godniejszego podziwu, jak wielkie dzieła pełnić, a o sobie pokornie mniemać?” – pyta średniowieczny augustinianin⁴.

A może też w narracyjnym geście *Mistrzów i szkół* ożyło echo dialogu spod ideałów starożytnej akademii? Na pewno w rejony akademickiego sporu Pan Profesor wiodł czytelników niektórych części swego *Słowa peryferyjnego*⁵. Tam narratorski głos brzmiał nieraz dosyć ostro, zaznaczał tu i ówdzie ironię, nawet wytykał (czyżby złośliwie?) to i owo autorom recenzowanych książek. Aksjologiczne nacechowanie wymowy obu tytułów tomów – *Mistrzowie i szkoły* oraz *Słowo peryferyjne* – gdy je ze sobą zestawimy, ujawnia zastanawiające zhierarchizowanie ról odgrywanych przez ich autora. Raz – gdy staje wobec mistrzów, innym razem – gdy czuje, że to on sam musi się skutecznie wcielić w postać Mistrza (także jak gdyby ze średniowiecznego moralitetu). Wtedy wspomniana tu wcześniej cierpliwość chwilami milknie i daje się słyszeć niecierpliwość. „Uczyn, abym ku mnie nie pociągał żadnego człowieka przez pochlebstwo albo uległość” – prosił Tomasz a Kempis⁶.

Oczywiście, w naszej kulturze dawne role mistrzów po trosze przejęli uczeni. Skoro pozostaliśmy bez własnego obszerniejszego słowa Pana Profesora o tym, jak pojmował tę właśnie swoją działalność, możemy wspomniany brak choć po części wypełnić. Wiemy bowiem nie tylko, co sądził o niegdysiejszych luminarzach wiedzy o literaturze.

3 C.P. Dutka, *Mistrzowie i szkoły – szkice o tradycji literaturoznawstwa*, Zielona Góra 1999.

4 Tomasz a Kempis, *Pochwała pokory, która jest fundamentem wszelkiej świętości; Recommendario humilitatis, que est fundamentum omnis sanctitatis*, [w:] idem, *Cztery medytacje*, s. 24.

5 C.P. Dutka, *Słowo peryferyjne*, Zielona Góra 1999.

6 Tomasz a Kempis, *O podniesieniu ducha; De elevatione mentis*, [w:] idem, *Cztery medytacje*, s. 55.

Oprócz tego napisał interesujące opracowanie *Genotyp postaci uczonego a ukryty aspekt kultury*. Zamieścił ten esej w swojej książce *Tancerz idei*⁷ (nawiasem mówiąc – najbardziej przeze mnie lubianej spośród jego publikacji). Pretekstem do jego eseju stała się postać zupełnie fikcyjna, mianowicie profesor Geist z *Lalki* Bolesława Prusa. Zresztą samo studium na ten temat ewoluowało sporo czasu, zmieniało werbalny kształt, obrastało w konteksty. Co świadczy, że całkiem długo sama sprawa nie chciała opuścić umysłu Pana Czesława Dutki. A prowadziła do poniższego wniosku:

literacką w swej istocie postać uczonego skonstruowano z „prawdy i zmyślenia” – w repertuarze stereotypowych wcieleń, według jednego i więcej niż jednego punktu widzenia, zewnętrznego i wewnętrznego. Przedstawiano ją zwykle w wielu „ramach modalnych”, jako postać główną (Faust) i poboczną (Geist), choć najczęściej epizodyczną. Została też genotypicznie zhierarchizowana od maga-siłacza poczynając, na uczonym akademickim kończąc. Genotyp postaci wywodzi się tedy z wielości „zaistnień w słowie” i to w sposób zgoła modelowy, stąd jej składniki („relevantne i inwariantne”) powtarzają się w utworach tak bardzo odległych od siebie epok. Genotypiczne elementy topoidalne i stereotypowe tworzą korzenie, na nich zaś rośnie i rozwija się dostępne naszemu bezpośredniemu doświadczeniu drzewo fenotypiczne uczonych⁸.

Ten cytat ukazuje charakterystyczny styl tekstów Pana Profesora. Scjencystyczne terminy zdradzają, jak bardzo upodabniał się język – jego, ale ówczesnie i całej dyscypliny – do przestrzegających taksonomicznych rygorów pojęciowych dyskursów dziedzin przyrodniczych, chętniej przecież uznawanych za „prawdziwą naukę”. Czy wobec tego nie jest symboliczne, że Czesław Dutka swój najobszerniejszy esej na temat literackiego wzorca uczonego poświęcił właśnie reprezentantowi nauk przyrodniczych? Czy wreszcie nie jest to wszystko symptomatyczne, a jakoś wbrew faktowi, że sam autor eseju był przede wszystkim bardzo świadomym spadkobiercą przełomu anty-pozytywistycznego i chętnie się wpisywał w nurty humanistyki rozumiejącej, czerpał ze strukturalizmu, wspierał hermeneutyką, ba – z domieszkami psychoanalizy, nieraz zaś – socjologii? Był spadkobiercą tych zawirowań i nurtów – by jak w zakończeniu powyższego cytatu godzić wszystko, unieść na wyższy poziom poznania otwierający się już nie za pomocą instrumentów nauki, ale na mocy wyobraźniowej fortunnosci metaforycznego obrazu, obrazu archetypicznego, wydaje się, starego jak pamięć ludzkości – obrazu drzewa z korzeniami. Poetyckość wkradała się do dyskursu Pana Profesora. Czyżby dlatego właśnie pośród swoich „godności akademickich” – co zapisywał w cudzysłowie – najbardziej cenił sobie tę – „honorowego rektora Uniwersytetu Poezji” (też zapis oryginalny zastosowany przez uhonorowanego!)⁹.

„Fenotypiczne” cechy, jednostkowym reprezentantom przypisane w tekście z *Tancerza idei*, co znów symptomatyczne, wcale nie zaznaczyły się rozległej w sferze

7 C.P. Dutka, *Tancerz idei. Pisarz jako autor i świadek znaczeń*, Zielona Góra 1995.

8 Idem, *Genotyp postaci uczonego a ukryty aspekt kultury*, [w:] idem, *Tancerz idei...*, s. 169.

9 Idem, *List otwarty do Zenona Łukaszewicza*, [w:] idem, *Słowo peryferyjne*, s. 215.

„zaistnienia w słowie” wypowiedianym przez wymienianych bohaterów literackich. Podobnie jak niemal nie „zaistniała w słowie” autocharakterystyka Pana Profesora jako uprawiającego naukę. Za to w eseju dobitniej wyraziła się przestrzeń pracowni uczonego, odkryło znaczenie jej umiejscowienia. Ona przede wszystkim, symbolika pracowni, ukierunkowała charakterystykę postaci – od „genotypicznych korzeni” poczynając.

Warto poczytać:

odrealnienie rzeczywistości, tła działań głównego bohatera i Geista, mające na celu zdemonizowanie osoby uczonego, tudzież charakteru – powtórzmy – jego działalności, zawarte jest ponadto w opisach wyglądu domu i laboratorium. Przestrzeń ma tu strukturę poziomą. Stare zniszczone domy położone są na uboczu, daleko. [...] Pojawienie się tych elementów w tekście stanowi zapowiedź rzeczy niesamowitych, odsłaniają one jak gdyby etyczny charakter obiektu. Mimo że ten przynależy do przedmiotów nieożywionych... [...] Samo wyposażenie pracowni Geista jest niezmiernie ubogie. Pozytywizm nie wniósł żadnych strukturalnie istotnych zmian – zamienił tylko, zgodnie z duchem czasu i panującą tendencją, desygnaty owego wystroju. Romantyczne atrybuty pracowni Fausta (rulony rękopisów i księgi) zostały zastąpione próbkami i przyrządami badawczymi, a ludzkie czaszki – „retortami, miseczkami i rurkami ze szkła [...], bombami artyleryjskimi”¹⁰.

Jeśli trzeba w tym modelu rozpoznawania typu postaci zamiast Geista dojrzeć samego Pana Profesora, musimy uruchomić mechanizmy przeciwne do opisanych. Zatem powinniśmy urealnić przypominaną rzeczywistość, oddemonizować osobę uczonego. Ze względu na dyscyplinę uprawianą przez bohatera opowieści próbki i przyrządy badawcze ustąpią znów miejsca rękopisom i księgom. Nie będzie ludzkich czaszek. No właśnie! Znów usuwamy w cień co raz pojawiające się atrybuty badacza tajemnic natury... Ale w zamian poruszeni sugestywnością dociekań, a może i ukrytych faustycznych tęsknot autora zacytowanego eseju (spełnionych nieco przez otrzymaną nagrodę „bardzo kulturalnego Czarta Lubuskiego”¹¹), z pewnym może zdumieniem stwierdzimy, że jedno pozostaje niezmiennie. To „etyczny charakter” opisywanego obiektu, czyli pracowni uczonego. I dostrzeżemy to jeszcze lepiej, gdy wesprzemy konstrukcję modelu, sporządzonego przez Pana Profesora, elementami tradycji plastycznych, a ściślej – portretowych.

Spróbuję tutaj przeprowadzić ten zamysł. Sięgam po wiedzę do bardzo pomocnego w niniejszej sprawie artykułu znawczyni dawnej ikonografii, Joanny Guze, *Książka jako symbol treści intelektualnych w sztuce doby humanizmu: XV-XVI w.*¹² A sięgam tam dlatego, że przy innej okazji warto by to opracowanie odczytać jako znakomicie

¹⁰ Idem, *Genotyp postaci uczonego...*, s. 163-164.

¹¹ Idem, *List otwarty do Zenona Łukaszewicza*, s. 215.

¹² J. Guze, *Książka jako symbol treści intelektualnych w sztuce doby humanizmu: XV-XVI w.*, [w:] *O ikonografii świeckiej doby humanizmu. Tematy – symbole – problemy*, red. J. Białostocki, Warszawa 1977, s. 159-244.

komplementarne z *Genotypem postaci uczonego*... Pośród ilustracji wykorzystywanych przez autorkę jest reprodukcja grafiki Hansa Burgkmaira ukazującej Konrada Celtesa, wielkiego humanistę¹³. Ten renesansowy wizerunek od lat kojarzył mi się z osobą Pana Profesora.

Otóż w renesansie humaniści byli portretowani na tle swoich pracowni, ukazywani przy pulpicie, w trakcie zapisywania bezcennych myśli. Burgkmair zaś przedstawił Celtesa, owszem, wspartego obiema rękoma o pulpit, ale całkowicie zajętego księgami, tak że ni cala nie pozostało, by rozłożyć tam arkusz i zapełnić go własnym pismem.

Mam nadzieję, że już stają się jasne powody moich skojarzeń. To rola odgrywana przez książki – zaznaczona w szesnastowiecznym portrecie i w moich wspomnieniach Pana Profesora, a w obu wypadkach naprawdę dochodzi do głosu „etyczny charakter”.

Książka jako przedmiot, a zarazem jako symbol treści intelektualnych, została szczególnie wyeksponowana w interesującym wytworze kultury renesansowej, jakie stanowiło *studiolo*, specjalne pomieszczenie wprowadzone do włoskich rezydencji. Odzwierciedlało w przemyślny sposób „humanistyczny ideał wszechstronności wykształcenia i zainteresowań”¹⁴. Albowiem specjalnie zaprojektowane miało eksponować księgozbiór, imponować zestawem narzędzi naukowych, a w starannie dobranych portretach umieszczanych na ścianie wskazywać ideowych patronów właściciela. Przede wszystkim zaś stanowiło miejsce do pracy naukowej. Choć w następnych epokach stało się coraz częściej tak zwanym gabinetem osobliwości, potraktowane jako pewien schemat-zasada, tu zdalnie uzupełni „korzenie” wyznaczone „genotypami” i „fenotypami” z eseju *Genotyp postaci uczonego*..., szczególnie gdy chodzi o szansę postrzegania funkcji gabinetu naukowego. Zdanie dlatego, że utrwaliło pewien stereotyp, którego różne warianty są obecne powszechnie w dzisiejszych uczelniach i mieszkaniach.

W niniejszej opowieści najdalsza retrospekcja sięga września 1996 roku. Wtedy to po raz pierwszy osobiście zetknąłem się z Panem Profesorem. Było to podczas wstępnej rozmowy na temat zatrudnienia mnie na etacie w zielonogórskim Zakładzie Teorii Literatury. Na razie w związku z tym sama książka jako obiekt w takiej przestrzeni musi się ukryć. Po raz pierwszy zatem minąłem próg uczelnianego gabinetu Pana Czesława Pawła Dutki, zarazem wspólnego gabinetu wszystkich pozostałych członków zakładu, ponieważ rozmaite te funkcje musiało spełnić jedno niewielkie pomieszczenie. Jak wyglądało? Oczywiście że w narożniku stało obowiązkowe biurko, jak zawsze w takich pomieszczeniach. Większość powierzchni pokoju wypełniały stoliki skupione ze sobą, zestawione blatami, tak że powstawało z tego coś na kształt olbrzymiego stołu refektarzowego, przy którym mogła się spotkać niemała grupa osób. Najbardziej wyeksponowaną ścianę wypełniał zaś szereg bardzo powiększonych (o wysokości gdzieś 70 centymetrów) fotograficznych portretów czołowych autorytetów polonistycznej wiedzy

13 *Ibidem*, s. 229.

14 *Ibidem*, s. 208-210.

o literaturze – Juliusza Kleinera, Wacława Borowego i Jana Trzynadlowskiego. Czyli właśnie jak w klasycznym *studio*, gdzie przewidywano sporo miejsca na wizerunki patronów intelektualnych poszukiwań użytkowników takich gabinetów.

Półki odkryte dla oczu widza okazywały ogromną liczbę zszywek i oprawnych egzemplarzy prac dyplomowych. Podobnie była zagospodarowana przestrzeń biurka, po brzegi. „Refektarzowy” blat – także, a oprócz tego zajęty mnóstwem spiętych ze sobą arkusików studenckich prac semestralnych, szkiców rozdziałów magisterskich rozprawek. Między tym wybrzuszały się zrulowane szczotki książki Pana Profesora właśnie przechodzącej etapy drukarskiej produkcji. Jedynie maleńki narożniczek „refektarzewego” stołu nie był tak wysoko zabudowany materią kartek. Tam Pan Profesor nanosił korektę na jedną ze szczotek swojego tekstu. Zapisywał wszystko pilnie czerwonym tuszem na marginesach próbnego wydruku. Pochylony niemożliwie, wielkimi okularami dotykający papieru, w którym zupełnie zginęła jego zazwyczaj godnie prosto noszona sylwetka. Tak zastałem go po raz pierwszy. Oczywiście przejęty nawet nie widziałem, w jaki sposób na blacie zwolniło się wiele miejsca na zastawienie poczęstunkiem dla mnie, zdrożonego podróżą, niepewnego co do dramaturgii pierwszej naszej rozmowy na żywo.

Nie minęło wiele minut, a w wymianę zdań wdarły się echa korektorskiego bólu. Bólu, który znajdował cały swój wyraz w głosie tłumionym westchnieniami charakterystycznej emocjonalnej zadyszki. A wszystko, jak się okazało, dlatego że wykonawcy próbnego wydruku po raz nie wiem który nie wprowadzili wskazanych przez autora poprawek błędów. Słowa o niedbałości odbiorców korekty tu nie wystarczyły. Dostałem do wglądu wcześniej poprawiane szczotki tych samych partii powstającego tekstu.

Przez wiele następnych lat przy wspomnianym skraweczku „refektarzewego” stołu zastawałem Pana Profesora o wszelkich możliwych porach, gdy z nie mniejszym przejęciem takim samym czerwonym tuszem zakreślał coś w kontrolowanych pracach studentów. I z nie mniejszym bólem w głosie oznajmiał przy okazji, że tyle razy już zwracał na to samo uwagę swemu adeptowi polonistycznych wtajemniczeń warsztatowych. I podobnie jak podczas owej korekty szczotek trzeba było wejrzeć na wskazywane miejsce okazywanej właśnie kartki i wyrazić całkowite zrozumienie, jakże to przykra sytuacja.

„Refektarzowy” stół tracił swój obfity ładunek na godziny, w których odbywały się w gabinecie seminarium magisterskie studentów. Wtedy blat zapełniały ich bieżące dokonania, z odkrytych półek posłusznie uszeregowane nęciły tylko schludnymi grzbietami prace obronione od początku istnienia zakładu. Ze ścian spoglądali legendarni luminarze. O czym mogli myśleć magistranci w takim czasie? Czy szybko i wreszcie ich prace dostaną się na przeznaczone dla nich miejsce na półce? A może, czy oni sami staną się postaciami pokazywanymi adeptom na portretach?

Zdarzały się chwile, gdy „refektarzowy” stół, zazwyczaj tak obficie zastawiany pracami innych, że Pan Profesor zachowywał dla siebie samego ów narożniczek, bywał tracony całkowicie. Pierwszą taką scenę utraty, niezapomnianą, obserwowałem wiosną lub wczesnym latem roku 1997. Zostałem powołany na recenzenta prac magisterskich w naszym zakładzie oraz do komisji egzaminacyjnej. Chodziło o kilkoro studentów zaocznych, wszyscy byli spoza Zielonej Góry. Z powodu konieczności dłuższej podróży niektórzy mieli ze sobą spore bagaże, niektórzy dopiero w budynku uczelni wykorzystali szansę na posiłek lub doprowadzenie się do porządku przed egzaminem. Cała drużyna zdających magistrantów Pana Profesora otrzymała od niego dobrotliwie klucz do naszego wspólnego gabinetu, by tam przeczekać do pory zdawania. W niewiele czasu na „refektarzowym” stole nie pozostało ni milimetra wolnej powierzchni, a przy brzegu blatu młoda matka zabrała się do nakarmienia piersią swego niemowlęcia. Oczom obserwatora ukazywał się widok podobny do orientalnego bazaru, a wewnątrz panowała skrajnie ożywiona, choć całkiem nieponura atmosfera. Pan Profesor, z natury wrażliwy na etykietę, teraz obładowany naręczami koniecznych dokumentów zdecydowanym ruchem otworzył drzwi gabinetu, a jeszcze szybciej je zamknął, nie wszedłszy do środka. Z rezygnacją niemal dziecięcą wyznał mi, że zupełnie nie wie, gdzie się teraz ma podziąć. A na korytarzu było tłumnie. Cóż pozostawało? Obaj rozdzieliliśmy między siebie sprawiedliwie brzemie papierów, jak mistrz i uczeń u perypatetyków ujęliśmy się pod rękę i rozpoczęliśmy wolniuteńkie spacerowanie od jednego końca korytarza do drugiego. Tak cierpliwie przez czterdzieści minut – pamiętam – dotrwaliśmy do pory egzaminów. Które zresztą naprawdę wypadły świetnie i Pan Profesor wyszedł z nich niepomierne szczęśliwy.

W dniach wykładów na „refektarzowym” stole pojawiała się całkiem często sterta książek. Zupełnie nowiuteńkich czyściutkich tomów, a już w całości przeczytanych. To były najświeższe nowości literackie oraz naukowe z zakresu naszej dyscypliny. Siedzący za taką stertą Pan Profesor istotnie wtedy stawał się podobny do Konrada Celtesa na portrecie. Słuchacze wykładów z teorii literatury mieli regularnie na bieżąco rekomendowane te tomy. Potem trafiały one do domowych zbiorów właściciela albo były natychmiast wypożyczane piszącym prace dyplomowe. Natomiast stały księgozbiór gabinetu nie był od razu widoczny dla przybyszów. Mieścił się przede wszystkim w zamykanych, nieoszlonych szafach bibliotecznych. Stamtąd mogliśmy z niego my, członkowie zakładu, zabierać, co w danej chwili miało wspomóc czynności dydaktyczne. W każdym razie inaczej niż w renesansowym *studiolo*, w tym uczelnianym oczu przybysza nie zatrzymywał jakikolwiek przemyślnie dobrany szereg tytułów na książkowych grzbietach. Zatrzymywały liczne grzbiety prac dyplomowych tworzonych pod symbolicznym spojrzeniem luminarzy z portretów.

Uniwersytecki gabinet to niejedyne zielonogórskie *studiolo* Pana Profesora. Nie mniej pamiętne pod tym względem jest jego mieszkanie. Było ono maleńką, typowo

blokową peerelowską kawalerką w wielkopłytowym budynku. Zupełnie oczywiste, że jak na właściciela takiego a nie innego uprawianego zawodu przystało jeszcze parę dekad temu, wypełniały je niezliczone książki, tomy na półkach i niemal wszędzie indziej. To obrazek przecież typowy dla pośredniej charakterystyki ówczesnego „fenotypu uczonego”. Co wcale nie znaczy, że mogło tam braknąć stosownego i wygodnego miejsca przy stole dla gościa. W tym domu było zawsze przygotowane dla odwiedzających. Gdy trafiłem tam, Pan Profesor ciągle rozbudowując swoje monologi i prowadzoną konwersację, co chwilę prowadził mnie do kolejnych zakamarków tej prywatnej przestrzeni, bym to lub tamto koniecznie jeszcze zobaczył. W tej kwaterze humanisty nie było tym razem galerii portretów zasłużonych luminary. Zamiast jakiegokolwiek podobizny kogoś z ziemskich mistrzów nad głównym wnętrzem dominował dużych rozmiarów nowocześnie wykonany *Święty Mandylion*.

Niemożliwa liczba książek skutkowała tym, oczywiście, że i biurko było nimi – chyba najlepsze określenie – zaduszone niczym lawiną. Rozpatrywanie się w całej przestrzeni obu pokoików i przedpokoju prowokowało mnie po czasie do ciekawości. W tym bogactwie usytuowania się tomów nie było widać bowiem żadnego miejsca zdolnego do skreślenia choćby listy zakupów, a przecież Pan Profesor cały czas uprawiał twórczość pisarską. Zapytałem w końcu bez stosownych ogródek, gdzie pisze swoje teksty. Zaprowadził mnie wtedy do miniaturowej kuchenki, w której niewielki stolik był, oczywiście, także przytłoczony piramidą książek, szczególnie zaś – aktualnie studiowanych. Jednak na narożniczku owego stoliczka było nieco wolnego miejsca, tyle co by potrzeba na deseczkę do krojenia chleba. Na tym wolnym miejscu leżały kartki formatu szkolnego zeszytu, a na nich gotowy do użycia długopis. Gospodarz zdradził, że tu właśnie wszystko pisze.

Kolejne *studiolo* było w obszernym wałbrzyskim mieszkaniu, które Pan Profesor zajmował od czasu rektorowania tamtejszej Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Angelusa Silesiusa. Był bardzo dumny z tej placówki, a sprawą szczególnie bliską jego sercu, i to długo, było dążenie, by tego właśnie światowej sławy myśliciela i pisarza uczelnia dostała za patrona. Cieszył się, że na miejscu w to zamierzenie było szczerze włączonych sporo innych zwolenników, a zamysł się powiódł.

Wałbrzyskie mieszkanie w starym budynku swoim usytuowaniem, nieco z boku centrum miasta, mogłoby przywodzić na pamięć tak dokładnie przez Pana Profesora przeanalizowany opis okolic pracowni doktora Geista:

umiejscowienie pracowni, siedziby uczonego w domu „bardzo starym”, w oddaleniu od skupisk ludzkich nie jest wprawdzie regułą, ale chytem dość częstym, programowo i ze względów praktycznych stosowanym ongi, jeśli nie przez retorykę, to w tzw. powieści gotyckiej. Ciążyły tu – *per analogiam* – sugestie ogólnych ocen etycznych i estetycznych. Dzisiaj w przenikliwych powieściach o intelektualistach widoczne są te szczególne reguły opisu, np. pod piórem Iris Murdoch, ukazującej swoich bohaterów na odludziu, samotnych. Umiłowanie samotności jest

jednak tylko pozornym określeniem ich stanu uwikłania – *under the net*, kryją się tam bowiem złożone elementy struktury¹⁵.

Inaczej tu otaczał świat zewnętrzny niż w wypadku zielonogórskiej kawalerki. Tam wokół piętrzyły się pozbawione indywidualizmu bloki ze swym osiedlowym wielogłosowym hałasem. Na uczelnię można było między nimi raz dwa podejść spacerem, a w parę kroków było się już w hotelu asystenckim. Może dlatego tyle Pan Profesor przebywał w uczelnianym gabinecie, położonym w budynku bardziej odosobnionym, bo już na obrzeżu miasta, blisko zagajniczka, a pod wieczór uczelniane korytarze wyludniały się, pustoszała, panowała cisza. Można się było bez rozproszenia oddać wspomnianym korektom czerwonym tuszem.

Wokół wałbrzyskiego domu zaś rozległe podwórza, płoty, zarośla, strumyk nieopodal. W ostatnich latach życia opuszczała się tę przestrzeń, by pilnie odebrać z poczty – oczywiście – zamówione książki. Ale najczęściej – by na długie godziny być sam na sam z podłączoną aparaturą medyczną w czasie szpitalnych zabiegów. Podczas nich człowiek chory jest na pewno niewyobrażalnie bardziej samotny niż na odludziu. Powroty ze szpitala do domu na niemal odludziu były paradoksalnie powrotami do życia.

Za to wewnątrz wałbrzyskiego domu tym razem było obszerne, wygodne, tak że książki nie musiały już być tak niemożliwie stłoczone. Sam gabinet także duży, a służący również za bibliotekę. Centralne miejsce zajmowało biurko. Tu mogło ono być wreszcie większe niż zielonogórskie, a i ustawione tak, że dostępne z każdego boku. Na nim znów – co jasne – sporo książek. Lecz nie one panowały nad powierzchnią blatu. Większość bowiem zagarniało znacznej wielkości popiersie Angelusa Silesiusa pilnie wpatrzonego w drzwi i we wchodzące osoby. Na biurku nie było już żadnego wygodnie rozległego miejsca do pisania.

Średniowieczny mnich zaś zapisał:

otwórz twe serce ku temu, co ma być: wówczas pokój znajdziesz gdziekolwiek. Bądź gotów cięższe znieść: wówczas lżejsze z łatwością podźwigniesz. Ucz się we wszystkim siebie zwycięzać: wówczas posiadziesz pokój wewnętrzny. Com winien zrobić, tego pragnę: i tak niebo posiadam¹⁶.

Pisanie zakończyłem w dzień Imienin śp. Pana Profesora Czesława Pawła Dutki 2020 roku.

Grzegorz Kubski

15 C.P. Dutka, *Genotyp postaci uczzonego...*, s. 163.

16 Tomasz a Kempis, *O życiu cichym...*, s. 29.